

# DOM POLSKI

Pismo beletrystyczne i naukowe.

ROK II.



POZNAŃ.  
NAKŁADEM REDAKCYI.  
1889.





P. II 137



# SPIS RZECZY

zawartych w „Domu polskim“

z r. 1889.

## Artykuły wstępne.

	str.
Od redakcyi . . . . .	1
Kilka uwag dla naszych kobiet . . . . .	25
Powołanie kobiety . . . . .	33—41
O patryotyzmie . . . . .	81
Bohaterstwo kobiety . . . . .	89
Wpływ kobiety na towarzyskie i społeczne życie . . . . .	97
Drobne oszczędności . . . . .	177
O wychowaniu . . . . .	185—257
Dom w świetle higieny i fizjologii. A. L. . . . .	243—283
Małe środki — lepsze skutki. Dr. W. L. . . . .	257

## Poezye.

Trzy barwy. Karol Brzozowski. . . . .	13
Wiersz na 58-mą rocznicę powstania listopadowego. Erwan. . . . .	17
Do mego dziecka. Marya P. z Rzeszkowa . . . . .	28
Dwie piosenki dla pani Natalii Czarlińskiej w uznaniu Jej pracy i talentu z niem. na polski język przetłumaczyła Lara . . . . .	35
Kresowym Westalkom. Erwan . . . . .	49
Wanda. Seweryna Duchnińska . . . . .	57
Bez domu. Józef Siemianowski . . . . .	68
Łańcuch. Seweryna Duchnińska. . . . .	75
U stóp krzyża. Helena Neyman . . . . .	90
Do albumu młodzietki lutnistki. Erwan . . . . .	100
W maju. S. K. . . . .	108
Wspomnienie. S. W. . . . .	114—129
Pod wrażeniem. Helena N. . . . .	139
Nie, to nie boli. . . . M. Konopnicka . . . . .	148
Modlitwa pieśniarza. Helena N. . . . .	155
Kazimirz Odnowiciel. Sew. Duchnińska . . . . .	169
Wiązanie.**.* Twoje wiosny. An. Zof. . . . .	202
Przed obrazem anioła, zstępującego z dziecięcim na ziemię. An. Zof. . . . .	211
W odpowiedzi. Joachim S. . . . .	230
Na jesień. Marya Sokolnicka . . . . .	234
Na groby. Helena Neyman . . . . .	243
W dniu 29 listopada. Józef Siemianowski . . . . .	267
Mickiewicz. Wiersz Uhlanda. Tłom. A. B. . . . .	274

## Powieści, nowele.

Bigarreau. Nowela And. Theuriet. (Tłom. J. D.) . . . . .	1—34
Marzenie. . . . .	4
Niby bajka. Witold L. . . . .	14
Obrazki z życia. Witold L. . . . .	45
Dwa listy. Nowelka P. z L. Wilkońskiej . . . . .	66—73
Dziwna przygoda Gućia. Fraszka przez Zofię An . . . . .	83
Jeden z wielu. Humoreska. Helena N. . . . .	93
Niedoszły kulig. Paul. z L. Wilkońska . . . . .	98—106
Nad morzem. Powieść z życia Duńczyków. Przez N. Schroet-tera. Przekład H. Neyman . . . . .	116—137
Ibrang - Hoihsthoht. (Z kartek szukającego idealów.) . . . . .	126—284
Hrabina Thea przez Elizę Polko. Tł. Anna Pilaska . . . . .	145—186

	Str.
Historja, jakich wiele. Tłom. Anna Pilaska . . . . .	191—224
Rożenka. Obrazek z przeszłości . . . . .	234—241
Zosia. Obrazek z natury . . . . .	250
W skutek wypadku na kolci żelaznej. Tłom. dr. St. Karwowski . . . . .	274

## Życiorysy, wspomnienia historyczne, literackie i t. d.

Wpływ poezji polskiej na powstanie listopadowe. Skreślił Dr. F. K. . . . .	5—9
Nieco o obyczajach staropolskich . . . . .	19
Nowe wydawnictwa. A. M. . . . .	29
Cyprysy. Przez Herminia Proschko . . . . .	42
List Władysława Syrokomli do Pauliny z L. Wilkońskiej . . . . .	I 62 II. 70
Ignacy Domejko . . . . .	77
List Stanisława Moniuszki do A i P. Wilkońskich . . . . .	86
List Pauliny Wilkońskiej do nowo zaślubionej . . . . .	91
Sprawa wprowadzenia języka rosyjskiego do nabożeństwa obrządku rzymsko - katolickiego . . . . .	132
List Kraszewskiego do P. Wilkońskiej . . . . .	175
Giecz i jego pamiatki. Hel. Neyman . . . . .	188—196
Zapiski, szkice i typy galicyjskie . . . . .	190—206
Kostrzyn. E. Callier. . . . .	268

## Korespondencya.

Zpoza kordonu. A. M. . . . .	6 36 59 82 117 148 180 205 220 244 267
Ze wsi. Wielkopolanka. . . . .	22 36 52 126 149 237
Ze Srody . . . . .	109
Lwów . . . . .	124
Z Paryża . . . . .	141 156 163 173
Chrystyania . . . . .	211
Echo szanłcowe. St. An. . . . .	285

## Rozmaitości.

Prace i zajęcia kobiet . . . . .	30—45
O czytaniu. J. D. . . . .	52—63
Wzajemna miłość w wychowaniu szkolnem. Izidor Poeche. . . . .	50—76
Znaki zwieryńca niebieskiego. Jul. Stinde . . . . .	85—90
Ćwiczenia pamięciowe w szkole ludowej. Izidor Poeche. . . . .	93—119
W Indyach . . . . .	140
Z doliny lez. H. N. . . . .	150
O malarstwie w Norwegii. Mazur. . . . .	155
Kanarki. Mazur. . . . .	181
Wpływ drzew na stosunki sanitarne. Mazur. . . . .	198
Maszyny do szenia i zdrowie. Ubranie kobiet. Mazur. . . . .	212
Prawdziwa kobiecość. H. N. . . . .	221—236
Przyczyny niedoli klas roboczych. I. Poeche . . . . .	227—237
Dom rodzicielski. Mazur. . . . .	245
Kilka słów o kredycie i pożyczkach. Mazur. . . . .	269

Oprócz tego znajdują się prawie w każdym numerze wiadomości literackie, artystyczne, rozmaiteści, sprawozdania teatralne rady, wskazówki, dotyczące zdrowia, lamigłówni, humorystyka i t. p.





# DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II.

— Poznań, 1 stycznia 1889 r. —

Nr. I.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem egzemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f. Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

## OD REDAKCYI.

W imię Boże i z ufnością w pomoc Bożą rozpoczynamy drugi rocznik „Domu polskiego.“

Rozwodzić się nie będziemy nad jego programem, bośmy go już przed rokiem określili i w niczem zmienić nie mamy zamiaru; usiłowaniami jedynie naszym było zawsze, jest i będzie wypełnić go w zupełności, łamiąc — o ile starczą siły — trudności, walcząc z przeciwnościami.

Szanowne społeczeństwo prosimy gorąco, aby z wiarą w szczerą i najlepsze chęci nasze poparło wydawnictwo „Domu polskiego“, aby tenże, jako wielkopolski organ literacki, mógł osiągnąć cel, jakiśmy mu w zeszłorocznym zakresie prospekcie, dojsć do rozwoju, któryby w pełni zadowolili wymagania i potrzeby wykształconej klasy swych czytelników.

Szanowne społeczeństwo prosimy usilnie o poparcie „Domu polskiego“ tak prenumeratą, jako i pracami literackimi; niech wspaniałomyślni posiadacze wiedzy raczą częsteczkę jej ująć w skromne ramy pisma naszego ku pożądaney i korzystnej wymianie myśli, ku wzbogaceniu wiadomości mniej wykształconych, oświeceniu małuczkiem, ku rozbudzeniu uspiomych tylko niekiedy myśli wzniosłych, lub drzemiących uczuć szlachetnych!

O! gdybym kiedyś dożył tej pociechy,

Aby te księgi zbłądziły pod strzechy!..

zawołał z zapalem wieszcz po zamknięciu dwunastej księgi największej narodowej epepei.

Niech więc nikt się nie dziwi, że i redakcyja skromnego wielkopolskiego organu literackiego pragnie z duszy i serca, aby tenże znalazł przystęp do każdego szerego-polskiego domu — od pałacu do strzechy wieśniaczej — aby wszystkie objął stany.

W tej myśli oświadczamy, że, jakkolwiek oznaczona prenumerata jest tak niska, iż „Dom“ jest obecnie najtańszem polskiem naukowem, beletrystycznym pismem, gotowi jesteśmy do wszelkich jeszcze możliwych ustępstw; niech tylko każdy tak miejscowy, jak zamiejscowy niezamozny przedpłaciciel z całym zaufaniem porozumie się wprost z redakcyą naszą.

Wszystkim Szanownym Współpracownikom, Czytelnikom i Przyjaciółom „Domu polskiego“ przesyłamy serdeczne życzenia szczęsnej doli i swobodniejszej myśli na nowo rozpoczęty rok 1889.

## Bigarreau.

Nowela

Andrzeja Theuriet.

(Tłom. J. D.)

I.

Urządzano centralne więzienie. Zarząd zakładów karnych postanowił zmniejszyć liczbę więźniów w C. i wszystkie umieszczone tam kobiety przenieść gdzieindziej. Wtedy generalny inspektor przedstawił, iż stare opactwo w Auberive zamiarom ministra odpowiada najzupełniej. Państwo więc nabyło posiadłość dawną Cystersów, starając się jak najspieszniej urządzić ją odpowiednio do nowego przeznaczenia, ku niemałej zgrzyocie mieszkańców miasteczka, którzy bynajmniej nie życzyli sobie sąsiedztwa karno-poprawnego zakładu.

Dyrektor z C., niecierpliwie wyglądający chwili pozbycia się więźniów swoich, przyspieszał roboty z gorączkową żywością. Zakład jego był zaledwie o ośm mil od Auberive oddalony — zatem połowę czasu mógł przepędzić w miejscu budowy, gdzie nadzorował zmiany, opatrywał grubość murów, rozstrajał nerwowo budowniczych, podlegał przedsiębiorców i drewny robotników. Był to silny, krępy mężczyzna z czerwoną, śladami ospy pooraną, a energią napiętnowaną twarzą, z błyszczącemi, jak stal, zimno i ostro oczyma; kędzierzawe, siwiejące włosy podczyonywał do góry nakształt peruki, a wyglądał na handlarza niewolników. Na jego rozkaz około pięćdziesięciu młodych przestępców — których do ziemnych robót użyć zamierzał i jeszcze tego wieczora oczekiwał — przesiedlono do Auberive, gdzie mieli pracować tak długo, aż zabudowanie będzie mogło kobiety pomieścić.

Przechadzając się po gościńcu, przerzynającym dolinę Aube, z nadleśniczym Yvert, współstołownikiem swym z jedynej oberży w Auberive, usiłował mu korzyści rozporządzenia swego wytłomaczyć.

— Wkrótce nadejdą — mówił z dumą specjalisty — nim kwadrans upłynie, muszą tu być. . . . Przyjdą, prowadzeni przez nadzorców, piechotą z C., a zobaczysz pan, jak ci zuchy posłuszni są na każde skinienie — jak wyglądają przyjemnie i . . . szczęśliwie!

Wesoły uśmiech zaigrał mu na cienkich, blizną przetrzęgniętych ustach, podczas gdy laską palmową, której



rączkę z słoniowej kości silnie trzymał w ręku, zcinał osty przydrożne.

Niebawem na drodze, wiodącej ku wiosce Bay, w blasku zachodzącego słońca ujrano tumany kurzu. Dyrektor podniósł szeroką z niezgrabnymi, kościstymi palcami dłoni przed oczy i zawołał tryumfująco: — Otoż są!

Nie omylił się. — Niezadługo wystąpili z obłoków prochu. Szli czwórkami, starsi naprzód, młodszy za nimi, a nadzorcy tworzyli straż tylną. Pomiędzy zielonemi krzewami na skraju drogi a ukośnemi promieniami słońca pochód odznaczał się wyraziście i zbliżał się widocznie do murów starego opactwa. Przyszedłszy tak, że można było ich słyszeć, na znak nadzorcy zanócili pieśń, wysławiającą przyjemności pracy i piękność natury. W więzienne kaftany opięci, z ostrzyżonemi głowami, nakrytemi czapką po uszy, w takt podnosili zapyłone nogi, defilując po wojskowemu przed dyrektorem i jego towarzyszem. Wszyscy mieli oczy spuszczone z uszanowaniem i automatycznie prawie śpiewali:

Słońce świeci jasno, pachną kwiaty niw,  
Spieszmy do roboty, koledzy, kto żyw.  
Praca i modlitwa ciało zmienia w stal.  
A duszę rozgrzewa niby śpiew wśród hal.

Na pierwszy rzut oka te dziecinne prawie wszystkie postacie zdawały się być jednego typu; wszystkie miały to samo wejście psa obitego, tę samą obrzękłą, żółtą twarz, te same mechaniczne ruchy i tę samą wesołość na rozkazy.

— Nie prawdaż, jacy ładni? — zawołał dyrektor, uderzając laską o ziemię; — ośm mil przebyli, a nie widać tego po nich . . . trzymają się krzepko i rzekło — każdy świeży, jak róża i wesoły, by zięba.

„Krzepko“ — mogło być — jakkolwiek niektórzy szli z pewnem wysileniem. Ale co się wesołości tyczy — wkrótce nadleśnik mógł się przekonać, co o niej sądzić. Podczas gdy dyrektor rozmawiał z nadzorcą, jeden z więźniów pozostał w tyle cichutko, jakby leśniczego chciał obserwować. Ładna twarz jego okazywała pewien rodzaj radosnego zdumienia; niebieskie oczy rozpromieniły się na chwilę.

— Numer 24 — krzyknął grubijańsko nadzorca. — Czegoż tam stoisz, jak kłoda? — Marsz do szeregu, prędko!

Rysy młodzieńca zaciemniły się, a Yvert, który mu prosto w twarz patrzył, przestraszył się dzikiego, poważnego, obłudno-pokornego wyrazu, jaki ta nagle przybrała.

Ciągle śpiewając, pochod wszedł na podwórze starego opactwa. Żelazem okratowana brama z brzękiem zamknęła się za młodymi więźniami; wspomnienie jednak tej wycieńzonej, lekko poruszającej się masy, którą w pochodzie ujrzał przelotnie tylko, pozostało w pamięci nadleśniczego.

Gdy wieczorem znalazł się w swym pokoju, mimowoli musiał myśleć o tem. Zdawało mu się, iż już raz w życiu spotkał kogoś, który z numerem 24 miał pewne podobieństwo, lecz gdzie? i w jakich okolicznościach? nie mógł sobie przypomnieć. — Rzecz zresztą nie była wielkiej wagi, na drugi dzień już o niej nie myślał.

W jakiś czas później, przy śniadaniu, zagadnęła go dość rozmowna gospodyni, która mu usługiwała.

— Właśnie przyszło mi na myśl, panie Yvert, czy widziałeś pan dzieci, co pracują w więzieniu?

— Widziałem, i coż?

— Jest tam pański współziomek, który w przecho-  
dzie poznał pana.

Yvert przypomniał sobie szeroko otworzone niebieskie oczy i zdziwioną twarz numeru 24 — niezawodnie był to on. Ale jakkolwiek natężył pamięć, w żaden sposób nie mógł wyszukać w niej bliższych wskazówek względem dziecięcia swej prowincyi, które do zakładu poprawczego zażeglowało. Niemniej przygoda ta zaczęła go interesować i wyraził chęć ujrzenia przedwcześnie dojrzałego rodaka.

Łatwo dało się to uskutecznić — nadzorca bowiem

był wielbicielem gospodyni i ta obiecała Yvertowi za jego pośrednictwem nazajutrz przyprowadzić młodego więźnia.

Gdy wieczorem dyrektor przyszedł do gospody — zachwycony był dobrem prowadzeniem się „swoich dzieci.“ Nie mógł się nagadać o tem.

— Są niezrównani, miluteńcy — powtórzył, a jednak mamy z samymi szumowinami społeczeństwa do czynienia, są tam podpalacze i mordercy, którzy, jak owieczki, stali się posłusznymi. I to jest rezultat naszej fizyczno-moralnej karności. Z zepsutych stworzeń robimy pożytecznych robotników — jak się z nędznych odpadków delikatne i dobre sukno sporządza. Tu leży rozwiązanie socyalnych a może i ekonomicznych zagadnień! Moje zuchy kosztują państwo pięćdziesiąt centymów dziennie głowa w głowę, a kopią ziemię tak dobrze, jak robotnicy, którym trzy franki płacić trzeba. . . . Redukcyja wysokiej ceny robotniczej i unormalnienie gatunku . . . to jest prawdziwy, wspólny interes ludzkości ogarniający postęp.

Nadleśniczy gorąco pragnął powziąć jakąś wiadomość o numerze 24, dyrektor jednak z swemi surowemi oczami i rozłupaną wargą — mimo zbawiających ludzkość teoryi — nader mierne wzbudzał w nim zaufanie. Bał się po prostu zwrócić uwagę tego straszego apostoła postępu z pomocą dyscypliny i zmniejszonej zapłaty na swego tajemniczego współziomka; postanowił przeto czekać i samemu zbadać położenie.

Na drugi dzień punktualna gospodyni wprowadziła do pokoju Yverta piętnastoletniego może chłopca i oddaliła się dyskretnie. Był to rzeczywiście numer 24. — Błady, obrzękły, obciśnięty robotniczą bluzą, z czapką w ręku stanął przed nadleśniczym.

Głowa jego z krótko obciętemi blond włosami wyglądała, jak kula; filuterne, niebieskie oczy spoglądały naprzecmian w górę i na dół, jak gdyby właściciel ich chciał stojącego przed sobą mężczyznę na wskroś przeniknąć i zbadać, zanim mu się wywnętrzy.

— Pan mnie pewnie nie poznaje? zapytał w końcu nieśmiały, a jednak nieco drwiącym głosem — a przecież tyle razy wykonywałem pańskie zlecenia, gdy pan byłeś w Villote.

Pamięć nadleśniczego nagle się rozjaśniła. „Bigarreau!“ — zawołał. I teraz przypomniał sobie doskonale ośmiolatego ulicznika z zjeżonemi, słomianego koloru włosami, który w podartej koszuli i azurowych majtkach wałęsał się po ulicach miasteczka i z taką rozkoszną obojętnością i niezrównanym humorem w łachmany się otulał. Jego okrągłe, różowe policzki i purpurowe usza zjednały mu przydomek: „Bigarreau“ [wisienka] jak lud go mianował.

Dziecię nieznanego ojca i ubogiej matki, która je lekkomyślnie porzuciła, stale przebywał na ulicy, oddając się niezliczonym rzemiosłom i zarobkom, pomiędzy którymi odnośnienie bilecikow miłosnych było najszlachetniejszem. W lecie, w sezonie kąpielowym, siedząc w cieniu, na rzecznej spadzistości, z papierosem w ustach, pilnował sukien kąpiących się gości, i wybuchał serdecznym śmiechem, jeśli ktoś uczący się pływać wypuścił pęk wierzby i wody się napił. W zimie w budzie sprzedających kasztany szukał przytulku; łapał drzewo, podtrzymywał wesoły ogień pod rustem, tu i owdzie schwytał owoc pieczony, który mu dwojaką oddawał usługę: najpierw rozgrzewał palce, a potem zaspokajał gwałtowne potrzeby żołądka. Wszystkie te szczegóły Yvert przypomniał sobie najdokładniej. Przypatrywał się tej twarzy chłopięcej, która, utraciwszy różowe kolory, w oczach i ust kończynach nosiła widoczne ślady wczesnem przebywaniem w więzieniu wywołanego zepsucia. Myślał, czy on sam, używając chłopca do różnych zleceń i tym sposobem utwierdzając we włoczędę, nie wprowadził go na drogę, kończącą się więzieniem?! . . . Czuł się nieomal odpowiedzialnym za to zepsucie obyczajów młodego więźnia, i spoglądał litośnie, rzeby można nawet, tkliwie na wyrostka, który, kołyszając się w tę i ową stronę i kręcąc czapką w palcach, pomieszany stał przed nim.



— Więc to ty jesteś Bigarreau? powtórzył.

— Ja, panie, odpowiedział więzień z pewnem wejrzeniem, a uśmiech przemknął mu po twarzy.

— Dostałeś się zatem do więzienia — biedny chłopcze!

— Jak pan widzi — odparł Bigarreau bez najmniejszego zakłopotania. — Spotkało mnie nieszczęście! Wiadomo panu, że latem przechowywałem rzeczy ludzi kąpiących się „na wylomie.“ Otoż pewnego razu, gdy trzepałem płaszczyz, wypadła zeń pięciofrankówka. Tyle pieniędzy naraz nie widziałem w życiu swoim — zaświerzbiał palce! . . . straciłem przytomność, chwyciłem pieniądze i uciekłem. Może mi pan wierzyć, że zaledwie uczułem je w kieszeni, chciałem zaraz wrócić i włożyć je na swoje miejsce. Nieszczęściem już mnie zobaczono, porwano i ani się spodziałem. . . . wtrącono do ciupy. Stamtąd poszedłem przed sąd, ten skazał mnie na więzienie, zapakował do klatki, gdzie aż do dwudziestego pierwszego roku życia mam przebywać. To się nazywa mieć nieszczęście! nieprawdaż, panie? — Opowiadał to wszystko trochę ochryplem głosem, z przymieszką obojętności i zuchwalstwa. Yvert zapytał, jak mu się powodzi w zakładzie, kierowanym tyle sławionym systemem dyrektora.

Chłopcu przedłużyła się dolna warga, twarz pociemniała, zrobił pełen znaczenia wyraz i rzekł:

— Do licha! — tam nie żartują! — Kazano nam iść piechotą z C. o czystej zupie tylko; a odkąd tu jesteśmy, pracujemy na wałach pod lasem, gdzie ma być cmentarz założony. Dziesięć godzin w upale kopać ziemię bez ustanku! Przytem żywią nas tak nędznie: groch rano, groch w południe i wieczor, a po jedzeniu kilka uderzeń. Dozorcy niemiłosiernie biją! — Ach! łaskawy panie, gdzie są te czasy, kiedy to wałęsałem się po brzegu rzeki i patrzyłem na wodne pajaki, jak się w prądzie kurezyły i wyciągały! Ach! ja także chętniebym się wyciągnął — ale pan dyrektor nie chce nic o tem wiedzieć; nie chce, aby się w jego ciupie nudzono. „Wszyscy mają być świeży, jak róże, i weseli, jak ptacy powietrzni.“ Zawsze powinniśmy śpiewać, ażeby ludzie myśleli, iż jesteśmy szczęśliwi i zadowoleni! . . . Co za komedia! I pomyśleć, że jeszcze pięć mam lat przed sobą! — Ale ja nie mam wcale ochoty kontraktu dotrzymać.

Oczy mu zabłyśły, a powieki mrugały tajemniczo. Poczem zakończył opowiadanie prośbą o kilka sous na tytoń.

Yvert dał mu srebrną monetę i zaprawił dar moralnem kazaniem. Pierwszą Bigarreau wsunął w podszewkę bluzy, drugiego wysłuchał z ironicznym uśmiechem — wreszcie pod pozorem, że czas do roboty powrócić, ukłonił się nisko i odszedł.

## II.

Nowy cmentarz dla kobiet zakładano na ugorze, graniczącym z lasami Montgerand. — Z punktu, gdzie młodszy więźniowie nad fundamentami pracowali, wzrok ogarniał całą dolinę Aube. — Widać było, jakoby na tle jaru, mały kościółek i obiedwie drogi wioski, opartej o zalesioną górę; łupkowe dachy opactwa, wyłaniające się z zieleni jodeł, a potem wielokrotnie wijącą się, srebrzystą Aube, która w blasku słonecznym przez kwitnące łąki w kierunku Bay pomykała, gdzie horyzont na nowo wzgórz i lasy odgraniczały.

Światło igrało po kwitnących łąkach, płynącej wodzie i niebieskawo migocących zdala liściach zielonych. Skowronki świegotały, wzbijając się wysoko, szum słuzy, pianie kogutów i głosy dziecięce aż tu dochodziły ze wsi. Wesół widok przedstawiała ta świeża, w promieniach słońca nurzająca się dolina; wszelako młodzi więźniowie, pracujący na ugorze w Montgerand, niewiele z tego korzystali.

Pod argusowem spojrzeniem nadzorey Seurrota przekopywali ziemię — a nie zostawiono im wcale czasu do „gawronienia się.“ Starsi władali motyka, młodszy zaś, po

dwóch, ciągnęli pełne taczki. Mając grzbiet okryty szarem płótnem, a głowy słomianymi kapelusami, w ustawicznym poruszaniu się wyglądali na szarym, kamienistym gruncie, jak masa ruchomych punkcików białych. Gdy podnieśli się, żeby obetrzeć pot z czoła, widok świetlanej doliny w dziecięcych ich sercach wzbudzał — zamiast pocieszającego wrażenia — gorycz tłumioną; leżące niejako w powietrzu wezwanie do wesołości miało dla nich coś bezbrzecznie okrutnego i szyderczego. Swobodny lot skowronków i jaskółek, krążących ponad zwierciadłem rzeki, podwójnie dawał im odczuwać przykrość przymusowej roboty, szturchańce dozorców i rygle więzienia, budząc w nich równocześnie chęć do oporu i uciezki.

Pomiędzy tymi, którzy jarzmo znosili najniecierpliwiej i surowej karności najuporniej się poddawali, był nasz znajomy Bigarreau. Wróciwszy od nadleśniczego, kupił sobie czempredzej paczkę papierosów i pudełko zapalek. Nowo nabytą własność ukrył w kieszeniach dolnego ubrania, gdzie przez cały poranek z tkliwą starannością jej się dotykał — postanawiając wypalić papieros, skoro się Seurrot odwróci.

Półgodzinny odpoczynek przerwał dzienną robotę i wtedy zmniejszyła się uwaga czujnego dozorca. — Seurrot mianowicie miał serce nader czułe, a błyszczące oczy gosposi „pód lwem“ ciągnęły go nieprzepartą siłą do owocowego ogrodu zajazdu, który leżał poniżej. Bigarreau liczył na tę chwilę. Zaledwie bowiem dozorca wstąpił na drogę, wiodącą do ogrodu, numer 24 z węzową gibkością prześliznął się przez krzaki bzu, dosięgnął zagajenia szybkim rzutem oka; z pomiędzy drzew, rosnących na skraju lasu, wybrał sobie jarzębinę z smukłym pniem a gęstymi liśćmi u góry i, jak wiewiórka, w mgnieniu oka na nią się wdrapał.

Potem usiadł na najwyższej rozsochatej gałęzi, a zasłoniwszy gęstymi liśćmi, wyjął cygareto, zapalił je i w powolnych pociągnięciach rozkoszował się słodczą zakazanego owocu. Było mu dobrze tam w górze, wśród świeżej, chłodnej zieloności. Pomiędzy liściastymi konarami widział dachy domów wieśniaczych i polyskiwanie Auby, która kręto przez łąki płynęła, oraz falujące owoce i żyta, żywym kontrastem odbijające od białej i czerwonej koniczyny, zasianej na spadzistościach. Kosy gwizdały w lasku, czyżyki świegotały we wierzbach nad rzeką, a świeży wietrzyk nakształt hamaka kołysał rozmarzonego Bigarreau. Tak dobrze było mu w górze, iż zapomniał o rzeczywistości.

Gdy Seurrot, trzymając w zębach różę, powrócił i małą gromadkę zlustrował, spostrzegł na pierwszy rzut oka, że jednego więźnia braknie.

— Gdzie numer 24? zawołał.

Chłopcy popatrzyli na siebie ukradkiem i odpowiedzieli wzruszeniem ramion.

Nadzorca najpierw pomyślał o ucieczce — i zbladł. Wzrokiem badał gąszcz zagajenia. Nagle na wierzchołku jednego z większych drzew ujrzał lekko kręcący się niebieski obłoczek dymu. To było nienaturalne, zapewne więc złoczyńca tam w górze swój oboz rozłożył. Seurrot skoczył po szkarpie i w minucie stanął pod jarząbkiem, gdzie z łatwością na dół zwieszono nogi Bigarreau mógł rozpoznać.

— Ty, łotrze, ty! — zwołał — palisz i puszczasz dym, to przekracza przepisy! — Zejdz mi na dół natychmiast, nicponiu!

Bigarreau był zbity z tropu, ale panował nad położeniem i próbował je wyzyskać.

— Zejdz, odpowiedział — ale musisz mi pan pierwej przyrzec, że karać mnie nie będziesz.

— Będziez mi tu jeszcze warunki stawiał? krzyknął Seurrot z wściekłością — zejdz dobrowolnie — źle się rzecz skończy.

— Zostanę zatem, gdzie jestem, brzmiała uporna odpowiedź Bigarreau.

Jarząbek miał cienki, ale bardzo wysoki pień, a nadzorca nie posiadał wcale zręczności wspinania się na drzewo.



Mógł niem wstrząsać, ile chciał tylko — delikwent jednak ani się poruszył.

— A więc sprzeciwiasz się zwierzchności, ty, rozbójniku! — Hej! słyszy tam kto? — przynieście mi siekiere, lecz prędko!

Grzmiący ten rozkaz przez dwóch więźniów został wykonany.

Seurrot wściekle pochwycił podaną siekiere i nie troszcząc się o to, że przekracza przepisy lasowe, zaczął jarząbek nad korzeniem podcinać. Przy pierwszym uderzeniu drzewo zadrzało z dołu do góry — lecz Bigarreau pozostał obojętnym. Cięcia siekiery następowały szybko po sobie, kora i trzaski rozpryskiwały się wokoło — pot kroplisty uperlił skroń nadzorcy. Obaj więźniowie, których to widowisko niezwykle rozweselało, ciekawie śledzili postęp zakrojenia w pniu wysmukłego drzewa. Nagle usłyszano głośny trzask — a Bigarreau, który rozważał, iż z dwójga złego, lepsze wybierać należy, zsunął się pomiędzy gałęziami i jak kłoda upadł na ziemię, pokrytą na szczęście gęstym mchu kobiercem.

— Czekaj, zboju, nauczę ja cię oporu! zaryczał Seurrot, chwyciwszy go za ramię. Niegdyś był on strażnikiem — palce więc jego trzymały silnie, by kleszcze. Równocześnie zwyciężonego drugą ręką hojnie obdarzał kułakami, potracając go ku miejscu budowy.

— Tak palisz wbrew przepisom? — ciągnął nadzorca — umacniając wrażenie każdego słowa silnym policzkiem. Przetrzęsnał kieszenie więźnia i rozsypał cygara po rumowisku.

— Gdzieś ukradł pieniądze, ażeby ich nakupić?

— Darowano mi je — zapewniał Bigarreau.

— Milcz! ... do licha, szubieniczniku! — Jutro, gdy pan dyrektor przybędzie, przy raporcie rzecz wyjaśnimy. Zamknij on cię do ciupy, aż zezerniejesz. Przedtem dziś dostaniesz tylko suchy chleb na kolacya.

Bigarreau smutnie przepędził popołudnie. Gdy wreszcie w wieczor o dziewiątej godzinie głodny, z zbitymi różgą palcami wyciągnął się w łóżku wiszącym, zaczął z goryczą nad przykrością dnia upłynionego i możliwymi wypadkami jutra przemyśliwać. Jeszcze nie wszystko minęło. Dyrektor wcześniej ma powrócić, a był jeszcze niełitościwszym od dozorczy. Bigarreau z doświadczenia znał sposób, w jaki ów straszny zwierzchnik karał najmniejsze przekroczenie przepisów.

— Nie — mruknął, kurcząc się w łóżku — mam już tego do syta i nie będę czekał jego powrotu.

Myśl ucieczki na nowo zaczęła krążyć mu po głowie. Zbudowana na przedce sypialnia dla więźniów niezbyt dobrze się zamykała; nadzorcy mieli sen twardy; około północy można umknąć, wdrapać się na mur i dotrzeć do lasów! W każdym razie trzeba szczęścia spróbować. Zciemniło się zupełnie; slyszal, jak nadzorca, ront swój obszedłszy, rozebrał się i rzucił na łożo. Wkrótce rozległo się w sali głośne chrapanie. Zręcznie, jak kot, Bigarreau wymknął się z łóżka, wdział suknie, drewniane trzewiki (saboty) sznurkiem umocował na szyi; poczem boso, wstrzymując oddech, przysunął się do okna, które zostawiono otworem, ażeby do sali, znajdującej się na pierwszym piętrze, świeże powietrze wpłynęło. Wspiąwszy się na gzyms, wychylił głowę ostrożnie. W jasnej, czerwcowej nocy mógł wyraźnie rozróżnić grędy warzywa. Świeża podlana ziemia była zapewne miękką. Bigarreau chwycił się silnie muru, ześliznął się troszeczkę i spadł na główki kapusty bez szwanku. Stał, obmacał się i slyszal; żaden ton się nie ujawnił, prócz szmeru Auby, przez ogród płynącej. Poszedł więc wzdłuż rzeki aż do punktu, gdzie ta pod sklepieniem niknęła; tu odważnie wszedł w wodę, sięgającą mu do kolan, a postępując z prądem dalej, dostał się na otwarte pole.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Marzenie.

Mówią: „piękne, jak marzenie!“ „bawi się marzeniami,“ a przecież bywają marzenia ciężkie, okropne — stokrój gorsze od pospolitego, prozaicznego życia.

Dzień to był grudniowy, bezsłoneczny, mglisty, choć mroźny. Szybko świat nikły, blydy, szary zacierał się w mroku wieczornym. Wśród ciemnawych tumanów, łączących niebiosa z ziemią, czerniały tylko olbrzymie kolumny smukłych topoli, a ku wschodniej stronie odcinała się czarna koronka, zwiazana w przeróżne rysunki, z bezlistnych konarów i gałęzi rozłożystych wierzb starych.

Cisza obumarła panowała nad sennym światem, tylko gdzieniegdzie w oddali błyszczące światełka w oknach chat włościańskich dawały oznaki życia. Żaden ptak nie zatrzepotał skrzydełkami na gałęzi, wszelkie stworzenie żyjące ukryło się w kryjówkach swoich. W tej chwili spoczynku jeden tylko mróz pracował wciąż bez przerwy, kryształił lekką mgłę i przystrajał nią konary, gałązki, pędy, porosty, mchy drzew, zeschłe badyle zioł i drobne trawy żdźbła.

Oparta o framugę okna, patrzałam na te dziwa przyrody niby zawsze jednakiej, a przecież odmiennej w każdej porze roku i prawie w każdej dnia godzinie. Patrzałam długo, a czarniejące kontury zaczęły przybierać nowe kształty, przeistaczać się... w marzenia....

Otoczyły mnie przepaście i skał dzikich odłamy, oblane światłem księżycy... Wszystko było nieznane, nigdy dotąd niewidziane... przerażające i zarazem urocze....

Ujrzałam olbrzymią trumnę, a w niej uspioną niewiastę... Serce wyrwało się z piersi do ukochanych synów, znekanych cierpieniem.

— Więc umarłaś! zawołałam, załamując ręce z bólu.

— Nie — odparła, otwierając oczy — żyję.... czekam....

— Żyjesz po tylu losach?!

— Żyję, a rany goją się szybko, patrz....

Tu pokazała mi blizny na rękach, na nogach, na ciele.... Rany goją się, przydała i mniej one bolały.... niż....

— Niż co? zapytałam.

— Ach! te rany — mówiła z smutkiem — zadawali obcy, a dzieci własne kochały mię — ginęły w obronę mojej... Bolałam nad ich zgubą, ale miłość ich dodawała sił.. Warto żyć i cierpieć, gdy się ma kochające dzieci.. a dziś!...

— A dziś co? zapytałam.

— A dziś ciepło miłości, podtrzymujące me tchnienie, stygnie....

— O! nie mów tak, to być nie może — zawołałam.

— Słuchaj.... rzekła.

I do uszu mych doleciał brzęk złota.

— Co to jest? pytałam.

— Patrzaj!

Patrzałam, i ujrzałam zmianę obrazu. — W salonie podobnym do naszych bawialni, o machoniowych sprzętach, pokrytych ciemno-czerwonym utrechtem — o zwierciadłach w złożonych ramach, na wygodnym fotelu siedział wygodnie rozparty mężczyzna gruby, czerwony. W rysach twarzy typu germańskiego malowało się zadowolenie z siebie, a wokoło pełnych warg krążył lekceważący uśmiech.

Obok siedział blydy, zmęczony, zawstydzony wobec samego siebie człowiek.

Odgadłam. Był to targ o rodzinną ziemię.

— *Acht und vierzig thaler!* zabrzmiało w powietrzu.

Blydy człowiek pobladł jeszcze więcej, lecz skinął głową na znak przyzwolenia.



Twarz nadszprejczyka rozpromieniła się radością. Zrobił bowiem dobre kupno, pozyska niezawodnie pochwałę prezesa komisji kolonizacyjnej. Fundusz publiczny nie idzie na marne, wielka idea wielkiego męża przybiera ciało...

Blady człowiek odetchnął teraz swobodniej, pozbył się bowiem kłopotów i trudów, w jakie przez swą nieopatrność się pogrążył, a do jakich nie nawykł od młodu.

Niewiasta w trumnie jęła boleśnie i zakryła oczy pokaleczonemi dłońmi...

Czyż to nie okropne *marzenie*??



## Wpływ poezji polskiej na powstanie listopadowe.

(Skreślił *Dr. F. K.*)

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie,  
Z czujnym słuchem, baczem okiem  
Spieszmy się w tajnym obrzędzie,  
Z cichem pieniem, wolnym krokiem;  
Wszak nie nucim po kołędzie,  
Nuciwszy piosnkę żałoby,  
Ni do domu z nowym rokiem,  
Ze łzami idziem na groby.

I nam ciemno, i nam głucho wszędzie. Rodzinne nasze, staropolskie ogniska na ojczystej ziemi wygasły. Trudno nam się ogrzać w otoczeniu, w które przemocą nas wtrącono, bo stąd zimny, lodowaty na stęsknionych duszach naszych osadza się śron. Dla tego ukrywamy się chwilkę przed wrogiego wiatru podmuchem za grobów mogiły. Stopmy martwą śronu obłonę ciepłem tęsznego wspomnienia. Bo nam ciepła, wiele ciepła potrzeba, i otuchy i nadziei, bo skrzepniem i upadniem i nie wyjdziem z zakłętogo koła, nie trafim do snów i marzeń naszych urzeczywistnienia. Co nasze, co lube, co rodzinne, czego dziś nie ma, za czem tęschnimy, to z grobów naszych wyrasta, stąd nam je zerwać i w jeden je upleść wianek potrzeba, odżyć jego wonią, a w zamian złożyć na grobach naszych uczuć tęsnych wiązankę, okoloną zielonym liściem nadziei.

Jeśli pogonim myślą za ubiegłym owym czasem oczekiwania, nadziei, chwały i smutku, to gdzież nam szukać drogiej tej przeszłości, piękniejszych obrazów, jeśli nie w poezji ówczesnej rodzinnej, narodowej skarbnicy, w którą naród złożył „swych myśli przedzę i swych uczuć kwiaty!” Tam to serce narodu na wieczną skryzalizowało się pamiątkę. Tam to serce drży z oburzenia, jęczy w niewypowiedzianem udręczeniu i bólu, topnieje z żalu, żyje nadzieją, płomieni się radością i znowu drży z bólu — nie pękając.

Bez pieśni czysto narodowej — kto wie — możeby był naród usnął, skostniał, polubił kajdany. Pieśń ta mu zachowała cudowne obrazy lepszej przeszłości, wolność, obyczaje przodków, szczęście domowego ogniska i podania z zamierzchłych czasów! — tam duchy, upiory, rusałki, jeziora, mgły, a wszystko takie swojskie, rodzime. Naród śnił i marzył, tonął w tych obrazach, budził się i spostrzegł... w kajdanach. Czy mógł się w nich lubować?... one mu się wyrwać nie dały, i zmuszały na owe obrazy spoglądać z daleka, i piersi ściskając, nie pozwoliły się wzbierać uczuciu. Więc naród wstrząsł się i zerwał kajdany — niestety! na chwilę.

Kto twórcą tej pieśni, która pierś narodu tak wzduła, że aż pękły kajdany? Poczęła się w ucisku, z miłości ojczyzny, urodziła się w łonie „Promienistych“ i zajaśniała na czole Zana; pokochał ją Mickiewicz, wypieścił, wychował i posłał narodowi, aby ją do serca przycisnął. A pieśń ta:

Upajała melodyjnym technieniem  
Pierś młodą,  
I nad starców rozwianem marzeniem  
Słodkich wspomnień jaśniała pogodą,  
Wzgórza brzmiały jej rozkosznym echem,  
Przedrzeźniała ją Faunowie leśni,  
Płochę Nimfy wtórzyły z uśmiechem  
Tej pieśni!

Pieśń więc ta poczęła się w ucisku i pozostać w nim musiała. Naród był rozerwany. Potrzeba było potęgi, aby go duchowo w jednym poprowadzić kierunku; tą potęgą — literatura narodo wa. Lecz myśl swobodna tonęła w śnieżnych zaspach Sybiru, lub konała ostatnim echem w podziemnych sklepieniach katorgi. Trzeba ją było ochronić. Więc przybrano myśl narodową w czarowne, powiewne obstrony wyobraźni, a myśl wzniosła się, het! w dalekie, nadziemskie krainy, kędy ją naród sercem począł i zrozumiał sercem. Tam myśl była swobodną i na skrzydłach pieśni spuszczała się do serc młodzieży. Starsi, co na cudziemską dotąd kwilili nu gę, przyjąc jej zrazu nie chcieli. Obrazy rodzinnych pól, ubrane siłą wyobraźni w upiory i rusałki, dziwne i dzikie im się wydawały:

Duchy karczemnej tworem gawiedzi,  
W głupstwa wywarzone kuźni,  
Dziewczyzna duby smalone bredzi,  
A gmin rozumowi bluźni.

Mówi mędrzec w „Romantyczności.“

„Dziewczyzna czuje!“ . .

Oto odpowiedź młodego Bojana.

Czucie i wiara silniej mówią do mnie,  
Niż mędrca szkiełko i oko.  
Martwe znasz prawdy, nieznanie dla ludu,  
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce,  
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu,  
Miej serce i patrzaj w serce!

Hasło to młodzież dobrze zrozumiała. A więc: „mieć serce i patrzeć w serce!“ — to rada wieszczka. Naród, za radą wieszczka nauczywszy się czuć i mówić sercem, do nowego zerwał się lotu, młodzieńcza w nim zawrzała krew, rzucił suche badania, żył nadzieją i przyszłością.

Młodzież „promienista“ i ci, których te promienie dosięgły, jądro narodu, wszystko zakochane było w rodzinnej pieśni, rodzinnych polach i obyczajach przeszłości. Był to czas śmiałych usiłowań, oczekiwania pełnego nadziei. Sprężyną tego zapału był Mickiewicz; on to wlał ogień w żyły narodowi; on jedyny z wiankiem kwiatów, z rodzinnych pól zerwanym, wystąpił do walki z przedstawicielami poezji o treści suchej — jeden geniusz i zwyciężył! On też w czasie przed powstaniem jest jedyną gwiazdą pierwszej wielkości na narodowym niebie poezji, on sercem, on słowem wcielonym narodu. On pieśniami swemi popchnął bohaterów nocy listopadowej do boju; j e d y n y, co siłą swego natchnienia porwał za sobą tysiące był zdolny. On wieszczem, kapłanem, prorokiem, bojanem narodu, bo pojął ducha rzeczywistości, do jasných dzwignął go poglądów i poruszył idee, których urzeczywistnienie w łonie przyszłości spoczywało i stąd on przewodnią gwiazdą w czasach burzy i niedoli rozbitego narodu. I słusznie, bo natchnienie czerpał on z łona narodu, zapalał się tem samym uczuciem, które narodem wstrząsało! a „opiewając dzieje przeszłości, umiał je natchnąć duchem terażniejszości.“ Walka w Grażynie niby z omszałej wyjęta przeszłości, ale



ezy walka dwóch wrogich żywiołów już skończona? Czy ta sama walka z innym żywiołem się nie toczy? Wtedy Litwini zwyciężyli, dziś naród w ucisku. Resztę „dośpiewał sobie“ naród, czerpiąc siłę, odwagę, ufność i nadzieję ze zwycięstw praocjów. Dalej — Litawor, szerząc waśń wewnętrzną, wroga prowadzi do ojczystej ziemi — traci Grażynę i sam ginie w płomieniach, po niewczasie dysząc zemstą ku Krzyżakom. Słuchacz i czytelnik wołał: ja zdrającą nie będę! — i wielbił Rymwida, który mu tak do serca przemówił:

Bodajbym nigdy nie dożył tej pory!  
Brat przeciw bratu ma podnosić dłoń!  
Wczoraj wyszczerzył na Niemcach topory,  
Dziś ma je ostrzyć ku Niemców obronie!  
Wspólna moc tylko zdoła nas ocalić!!

przed stugłowym smokiem!...

Kobiet z silną wolą Grażyny czyż nie było potrzeba przed powstaniem? I nie zabrakło ich, a niejedna od Grażyny nauczyła się płacić wrogowi wzgardą. Polki nasze, to duchy nasze opiekuńcze, to nowożytnie Spartanki. One kochanków, braci, synów, mężów zagrzewały do boju, ich to ręką wyszyty orzeł i pogoń na chorągwiach wolności w taniec prowadziły mieczowy, ich ręką dotknięte goiły się w szpitalach męczenników wolności rany. To nasze Grażyny. Ta siła, ten wpływ Polek płynęły z „Dziadów.“ Miłość tam przebija się wszędzie, jako moment niezbędny życia, którego zniszczenie karę za sobą prowadzi. Jeśli „Grażyna“ zwróciła umysły ku walce wrogich sobie żywiołów, to „Konrad Wallenrod“ prawdziwe ziarno powstania rzucił w serce narodu. Tu wre walka o śmierć, lub życie, walka o niepodległość i zbawienie ojczyzny przeciw występny milionów czeredom. Myśl ta zupełnie odpowiada epoce przedpowstaniowej. Niepodległość, wolność, religia zdeptane — przemoc i jarzmo spętały najwolniejszy z narodów! Tylko poświęcenie, zaparcie siebie, ofiara najwyższa, miłość ojczyzny, jak w „Konradzie Wallenrodzie“, zdolne jarzmo skruszyć i wrogowi niepowetowaną zadać klęskę. Konrad w środkach nie przebiera, Konrad się posuwa aż do... zdrady; skąd życiem czyn swój płacić musi i nie może patrzeć na owoce swego czynu. Tu poeta woła: „Poświęć się, narodzie, ale staw zemście granice.“ Zdradę przyćmiewa tu bezdenna miłość ojczyzny, która w pieśni zachowaną być winna przyszłości. Halban ją poniesie:

Nie, ja przeżyję i ciebie, mój synu!  
Chcę jeszcze zostać, zamknąć twe powieki  
I żyć, ażebym sławę twego czynu  
Zachował światu, rozgłosił na wieki.  
Obiegę Litwy wsi, zamki i miasta,  
Gdzie nie dobiegę, pieśń moja doleci:  
Fard dla rycerzy w bitwach, a niewiasta  
Będzie ją w domu śpiewać dla swych dzieci.  
Będzie ją śpiewać i kiedyś w przyszłości  
Z tej pieśni wstanie mściciel naszych kości!

I rozpalili się serca, rozpalili szable listopadowej nocy, aż je w krwi wrogów chłodzić było trzeba. Urok i czar narodowego śpiewu z kości ojców mścicieli zbudził ojczyzny. Naród cały wołał: Gdzie koniec pieśni? — wraz mi koniec śpiewaj!... i odpowiedzi nie czekał, bo koniec sobie dośpiewał w duszy. Nie spocząć mu w tej chwili żaru, bo wielki wajdelota pierś mu wzdął pieśnią — a serce spalić goził:

„Gdybym był zdolny własne ognie przelać  
W piersi słuchaczów i wskrzesić postaci  
Zmarłej przeszłości, gdybym umiał strzelać  
Brznięciami słowy do serca współbraci,  
Możeby jeszcze w tej jedynej chwili,  
Kiedy ich piosnka ojczysta poruszy,  
Uczuli w sobie dawne serca bicie,  
Uczuli w sobie dawną wielkość duszy,  
I chwilę jedną tak górnio przeżyli,  
Jak ich przodkowie niegdyś całe życie:“

Wiedział wajdelota, że pieśń jego w sercu stutysięcznym odbije się echem, bo śpiewa dalej:

„Lecz poco zbiegłe wywoływać wieki?  
I swoich czasów śpiewak nie obwini!“

(Dokończenie nastąpi.)

## KORRESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO.“

### Zpoza kordonu.

A zatem rozpoczynamy rok osmdziesiąty dziewiąty z starymi grzechami, z dawnymi kłopotami i z nowymi nadziejami. Jakiś pesymista wymyślił przysłowie niedorzeczne: „nadzieja matką głupich,“ fałsz to wierutny. Przeciwnie — beznadziejność odejmuje rozum, czyni człowieka żyjącym trupem, samobójcą, albo waryatem. Nadzieja jedynie dodaje siły i odwagi do znoszenia trudów i zawodów, do wytrwania. Dziękujmy Bogu, gdy nam jeszcze nadzieja nie wygasła w duszy — gdy przyświeca nam ona w pracy i w podjętych zadaniach. Ogólny bilans minionego roku nie wypada świetnie, ale też nie nazbyt źle u nas. Wszystkie instytucje dawniejsze istnieją i powstały nowe. Jedną nich jest „Ochroń imienia Leuvalda,“ dla wychowania sierot po robotnikach fabrycznych, a drugą szwalnia imienia Anny Szeibler — obie założone w Warszawie z funduszków prywatnych. Po całym kraju pobudowano wiele nowych kościołów w miejsce dawnych, znajdujących się w upadku. Niedostateczny zakład dla waryatów pod nazwą „Jana Bożego“ został rozszerzony wielkim gmachem w Tworkach pod Warszawą. Nie idziemy więc w tył, tylko postępujemy naprzód — a to wiele znaczy.

Rolnictwo wprawdzie jęczy jeszcze w najgorszych warunkach, lecz przemysł rozwija się wciąż. Fabryki tutaj — nie mogły nadążyć z wykończeniem roboty, zapotrzebowanej do cesarstwa. Cukrownictwo, zamiast strat, przyniosło trzy do czterech proc. w ogóle. Gorzelnictwo także zyskało przez upadek przemysłnictwa okowity zagranicznej.

Ogólny poziom umysłowy warstw niższych postępuje w górę. Robotnicy fabryczni ubezpieczają się na życie, kasy pożyczkowe rozwijają się pomysłnie. „Gazetę rzemieślniczą“ zasilają artykułami pożytecznymi sami rzemieślnicy. Sprawy cechów rzemieślniczych za pomocą tejże gazety bywają ujawnione.

Włościanie wprawdzie pozostawiają wiele do życzenia, bo choć pozbyli się prawie zupełnie pijalstwa, lecz przez zbytne rozdrabnianie własności ubożeją i wychodzą do Ameryki. Ale można zaznaczyć, jak postęp i umiejętność czytania zaczynają być uważane za nicodbitą konieczność, a pomimo że rosyjski język odstręcza od uczęszczania do szkółek gminnych, nauka czytania po polsku idzie pomysłnie w domu.

Rok miniony przyniosł także kilka książeczek dla ludu: wydawcy warszawscy zaczynają poczuwać się do obowiązku zaspakajania potrzeb umysłowych warstw najniższych. Tygodniowe piśmka ludowe: „Zorza“ i „Gazeta świąteczna“ zaczynają wchodzić na właściwą drogę i rozumieć ludzi, do których przemawiają. Nie mamy więc nad czem rąk łamać z rozpacz. — owszem, krzepmy się nadzieją i idźmy odważnie naprzód.

Piśmiennictwo nasze trzyma się także krzepko na nogach. Z nowym rokiem powstaje nowy polityczny dziennik p. n. „Ziarno“. Nazwa „polityczny“ ma naturalnie



inne u nas znaczenie, niż gdzieindziej, nie może być bowiem mowy o żadnym kierunku w zasadach polityki. Przekreślają się tu to tylko, co inne gazety napisały o jakiej kwestyi, a reszta zostawia się czytelnikom.

Pokazuje się, że dramat ma racją bytu w Warszawie. Szekspir tylko nie ma szczęścia, nadto męczy — zdaje się — nerwy mieszczańskie. Ale dramat pana **Karczewskiego**: „Lena“, ściąga wciąż licznych widzów. Dramat ten dziwnych koleji losu doznawał. Przez sędziów konkursu imienia Bogusławskiego odsądzony został od nagrody. Mimo to, wystawiony w teatrze nowym, podobał się publiczności. Przeniesiony do teatru letniego, odnosił dalej tryumfy, a nakoniec wykonawcy woli Kuryerowa przeznaczoną sumę trzystu rubli, jako nagrodę za najlepszą sztukę sceniczną, przyznali panu Karczewskiemu.

We Lwowie zaś ta sama „Lena“ upadła całkowicie i ściągnęła ostre nagany krytyki miejscowej; w Krakowie także nie znalazła powodzenia. Co tu o tem wszystkim sądzić? Słowem, co głowa — to rozum; co kraj — to obyczaj.

Obecnie warszawska scena daje przedstawienia dramatu **Gutzkova**: „Uriel Acosta.“ Pomimo że dzisiejsze siły artystyczne są niedostateczne dla podobnych rzeczy, sztuka cieszy się powodzeniem zupełnym. Dramata przeto nie odstraszały widzów, tylko tragedye pełne scen morderczych

Pamiętam, gdy zeszłej zimy byłam na „Otellu“, pewna pani, siedząca obok, dostała ścisnienia serca w czasie duszenia Desdemony, i krzyczącą w niebogłosey wyprowadzono z sali. Była to przyjemność nie bardzo przyjemna dla owej damy. Pan Leszczyński rzeczywiście wykonywał to duszenie z takim realizmem, a trwa ono tak długo, że nikt zapewne obojętnym w owej chwili zostać nie może.

Nadechodzą karnawał — a z nim rozpoczyna się doroczne szale balowe. Warszawa się bawi — bo stosunkowo najmniej cierpi — na prowincyi głucho, jak w grobie, bo bieda przycisnęła.

A. M.

## Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaiteści.

**Henryk Ibsen** napisał nowy dramat p. t.: „Oblubienica morza“, osnuty na tle miłości. Młoda bohaterka utworu wyszła za starszego człowieka, ojca dwóch dorosłych córek, z którymi wzajemnie nie sympatyzuje. Pochodząc znad brzegów morza, tęskni za ukochanym żywiołem. „Najchętniej — sama wyznaje — rozmawiam o burzy, lub ciszy morskiej. Ryby morskie, raki, delfiny, mewy wydają mi się najbliższą mą rodziną.“ W piśmiennictwie współczesnym bywa morze niejednokrotnie tłem zajmujących utworów.

W **Amsterdamie** będzie wydawało „Stowarzyszenie Wagnera“ miesięczne pismo, poświęcone wyłącznie muzyce. Treścią tego nowego czasopisma będą artykuły z dziedziny estetyki muzycznej, rozbiory arcydzieł klasycznych, studia historyczne, szkice biograficzne i t. p. Redaktorem będzie dyrektor orkiestry, p. **Henryk Viotl**.

Naktadem redakcyi „Echa muzycznego“ wyszło w Warszawie „Album najnowszych tańców“, obejmujące najpiękniejsze utwory, grywane mianowicie zagranicą. Między innymi zamieszczone są w Albumie: **Ertla** walc i kadryl; **Czibulki** walc z opery „Rycerz szczęścia“; **Gannu'e'a** słynny marsz **Bulanżerowski**; **Lecoq'a** polka mazurka z opery „Kapeluszyk bandyty“ i t. d. Cena „Albumu“ wynosi 2 rsb.

W **warszawskim** kantorze „Banku państwa“ złożono 15,000 rs., jako kapitał zakładowy dla ważnego literackiego przedsięwzięcia. Ma to być wielki „Słownik języka polskiego“, opracowany na podstawie najnowszych badań z uwzględnieniem materyałów, jakie dotychczas posiadamy, a przede wszystkim słownika **Lindego**, który stał się podwaliną naukowego zgromadzenia zasobów mowy naszej. Do pracy w tym kierunku ma być powołane grono specjalistów, obeznanych gruntownie z naukową prawdziwością mowy naszej na podstawie gramatyki porównawczej.

W **Paryżu** ukazało się w ostatnich tygodniach kilka nowości scenicznych. Do tych należą: „Zazdrość“, dramat p. **Vacquerie**, autora „Syna“, „Jana Baudry“, „Formozy“, „Tragalbas“, „Pogrzebu honoru“ i t. d. „Zazdrość“ wywołała treścią swą ostrą krytykę **Zoilów** stolicy, którą głęboko dotknięty dramaturg przesłał otwarty list dyrektorowi teatru z prośbą o wstrzymanie przedstawień „Zazdrości“. Ostra także nagana spotkała nową komiczną operę **Oliviera Metra**: „Le mariage avant la lettre“. „Olivier Metre — tak się odzywa jedno z pism — autor pięknych walców, od lat wielu zapowiadał narodziny szerszego utworu, aby w końcu okazać... nieudolność swoją w tym kierunku.“ Partycyi zarzucają krytycy brak pomysłów, oryginalności i werwy. Niemniej smutnego losu doznał młody kompozytor, **Lucyan Lambert**, który wystawił w teatrze lirycznym (Chateau d'eau) „Sira Olafa“, fantastyczną sztukę w dwóch aktach, której tak muzykę, jak słowa ostro zganiono.

W **Wiedniu** wielkiego powodzenia doznaje nowa opera **Ziehrera** p. n. „Der Deutschmeister“, podnosząca treścią i tytułem zasługi najpopularniejszej firmy wojskowej stolicy Austrii t. j. pułku **Deutschmeistra**. Libretto opracowali pp. **Gené** i **Zappert**. Treść do niego zaczerpnięta z czasów kampanii bośniackiej. Dowódca pułku, wkraczając o północy do starego, zakłętego bośniackiego zamku, spotyka widmo w postaci ślicznej, młodej dziewczyny. Z poznania wywija się wzajemna miłość, której węzły stają się tem silniejsze, gdy piękne dziewczę ocala życie ukochanemu, ukrywając go przed nieprzyjaciołmi. W skład muzyki lekkiej, wesołej wchodzi marsze, polki, walce i t. p. Wystawa nowej tej opery jest nader malowniczą; szkoda tylko, że kostiumy nie są wzięte z rzeczywistości, gdyż współczesny mundur austriacki z wyższego rozporządzenia nie może figurować na scenie.

W **Lwowie**, na jednym z ostatnich niedzielnych koncertów „Towarzystwa muzycznego“, wykonano, jako nowość, uverture z opery **Edwarda Lalo**, „Król Ys“, grywaną z wielkim powodzeniem we Francyi i Belgii. Miłość i zazdrość — oto dwa główne motywy dramatyczne „Króla Ys.“

Treść nowej opery **Juliusza Masseneta**: „Le mage“, sięga epoki mitycznej, przed panowaniem **Daryusza** w Persyi. Głównym bohaterem jest **Zoroaster**, obok niego występują król **Hystapve**, jego małżonka, narzeczona **Zoroastra**, arcykapłani i kapłanka **Jahi**, czyli bogini rozkoszy. Opera składa się z 4 aktów. Trzeci akt odbywa się w pałacu królewskim, a główną sceną jest uczta w rodzaju starożytnych **bachanalii**, nazwana „świętem rozkoszy“, obejmująca pełen efektów balet. Całość wymaga przepychu wystawy, zwłaszcza, że do opery wchodzi wiele chóru kapłanów, magów, rycerzy w stylowych kostiumach. Libretto napisał **Jan Richepin**.

Szanownym czytelnikom „Domu pol.“ zapewne już wiadomo, że w ostatnim czasie doktoryzowała się w Sorbonie paryzkiej rodaczka nasza, panna **Schultz**, Warszawianka, a rozprawą swą znakomitą: „Kobieta, jako lekarz w XIX wieku“, zyskała rozgłos, który odbił się echem w pismach francuzkich i innych zagranicznych — i uznanie, którego nawet nie przyćmiła powtórzona przez



wszystkie paryzkie gazety mowa prof. Charcot'a, jednej z powag lekarskich stolicy, usiłującego z francuzką galanterią, ale stanowczo zbić wywody uczonej Polki, dowodząc, że „kobiety lekarki będą zawsze wyjątkowymi kobietami.“ — Przywykliśmy słyszeć mężczyzn rozumnych, wykształconych, uczonych nawet, twierdzących, że kobieta nie powinna sięgać po prawa i przywileje do pracy i kariery naukowej, li mężczyznom przysługujące; przywykliśmy słyszeć zdania i uwagi, potępiające wszelką dążność do tak zwanej emancypacji kobiet, choćby bardzo rozsądnej i uprawnionej, to też zdziwiło nas niemało, a — mówiąc szczerze — i ucieszyło w obronie emancypacji śmiało wypowiedziane zdanie korespondenta „Kłosów“, które, jako może ogółowi czytelniczek „Domu polskiego“ nieznanie, pozwalamy sobie tu przytoczyć:

... Lekarki wcale nie należą do jakichś dziwów szczególnych, ale, pełniąc swój zawód sumiennie i gruntownie, nie przestają być kobietami, dobrimi żonami i doprawdy bardzo miłymi osobami w towarzystwie. Znamy takie kobiety, nie tylko lekarki, które, odebrawszy wykształcenie uniwersyteckie, są daleko prostsze, naturalniejsze, sympatyczniejsze, aniżeli niejedna wykarmiona na francuzkich romansach lafirynda. W ogóle nasza kobieta zdobyła sobie ostatnimi czasy parę stanowisk, z których jej nie wyparują opozycje rutynistów. chcących widzieć w naszych towarzyszkach życia tylko kucharki, albo lalki salonowe. I w literaturze mamy cały zastęp pracowni dzielnich, zasłużonych, które ostatecznie wywalczyły sobie stanowisko siłą i żywotnością talentów, i nie dadzą się z niego zepchnąć, a nawet zwyciężko nieraz współzawodniczą z mężczyznami.

**Akademia** paryzka przyznała złoty medal królowej rumuńskiej, Carmen Sylwi za książkę p. t. „Pensées d'une reine.“

**Schaaf**, fabrykant fortepianów w Hamburgu, wynalazł sposób wzmocnienia tonów przy pianinach.

**Znany** w świecie muzycznym tenor angielski, Simon Reeves, obchodzić będzie wkrótce „złote wesele“ ze sceną, na której pracował lat 50. Dzień złotego wesela będzie zarazem dniem pożegnania sceny i artystycznego zawodu jubilata, który syt sławy, pragnie odtąd spoczywać w jej... blasku!

## Jubileusz prof. M. Jaroczyńskiego.

W przeszłą niedzielę, dnia 30 grudnia, ożywiło się miasto nasze z powodu wspaniałej jubileuszowej uroczystości p. **Maryana Jaroczyńskiego**, urządzonej ku uczczeniu zasług i 50 letniej pracy szanownego profesora i malarza-artysty.

O godz. 12 w południe urządzający uroczystość komitet i liczne deputacje udały się do mieszkania Jubilata. Tu pierwszy w imieniu komitetu przemówił redaktor „Dziennika pozn.“, p. F. Dobrowolski, podnosząc Jego zasługi na polu narodowym, nauczycielskiem i artystycznym. Znany artysta-rzeźbiarz, p. Marcinkowski, także jako członek komitetu, zaznaczył w serdecznych, ciepłych słowach główne piękne przymioty szanownego Jubilata, przymioty, które mu zjednały tak liczny zastęp przyjaciół; a przede wszystkim podniósł pełne miłości i wytrwałości poświęcenie się artystycznemu kształceniu młodzieży i Jego gorący, przy każdej sposobności objawiany patriotyzm. Przemawiali jeszcze w imieniu licznych stowarzyszeń i deputacji pp. Rakowicz, radzca Dr. Ossowicki, p. Grüber i p. Robowska.

Nadto odebrał szanowny Jubilat mnóstwo powinszowań ustnych i piśmiennych w formie listów, biletów i telegramów od licznych przyjaciół i znajomych. Wręczono Mu przytem wieniec laurowy i piękne upominki. Uroczystość zakończyła się wesołą ucztą.

I my z tego miejsca przesyłamy Szanownemu Profesorowi i zasłużonemu artyście — obok uznania Jego zacnych usiłowań, Jego wysokich przymiotów serca i umysłu, jego szczerzego, nieustraszonego patriotyzmu — wyrazy czci głębokiej i życzenia lat długich przy czerstwym zdrowiu i pełni błogosławieństwa Bożego

## Promyki.

Zebrała

Marya P. z R.

Bywa i w niemięzkim ciele męzki rozsądek i cnota.  
*M. Fredro.*

Z jednej i drugiej omyłki spotrzeżonej nie sądź o poczciwości człowieka, bo nie masz człowieka nieomylnego.  
*Ignacy W.*

W jednej ręce ma Bóg łaskę, w drugiej sprawiedliwość.  
*Ks. Andrzej Radowiecki.*

Dusza jest jako mitologiczna beczka Danaid: wszystkie potoki szczęścia w nią się wlewają, a żaden w niej nie zostaje.  
*Ks. Jakób Olszewski.*

Wszystkim chorobom lekarstwo się zdarza,  
Jedyna miłość nie chce mieć lekarza.

*Jan Gawiński.*

Miłość jest uparta, jak koń narowisty, a kapryśną, jak dziecko.  
*Zygmunt Kaczkowski.*

To nie nieszczęście prześladowa ludzi;  
Lecz gdy kto serce zawcześniej wystudzi,  
Zmarnuje siły i wolę zatraci,  
Wtedy odeprzeć nie potrafi w życiu  
Ciosów, co często czyhają w ukryciu.  
Im wróg silniejszy, tem odwagi więcej!  
Wysiłku więcej, im jest większa praca;  
A gdy kto staje do walki gorącej,  
Temu dyademem czoło los ozłaca,  
I stronić będzie odeń rozpacz błada;  
Bo jakieś stare przysłowie powiada:  
Że kłęski temi do nas wchodzi drzwiami,  
Którymi — słabi — wpuszczamy je sami!

*D. Z.*

## LISTKI.

Wszystkim Szanownym i Łaskawym Prenumeratorom „Domu polskiego“, którzy nam nadesłali swe noworoczne życzenia, serdeczne z tego miejsca składamy podziękowanie.

TREŚĆ: Od redakcyi. — Bigarreau. Nowela Andrzeja Theuriet. Tłom. J. D. (Ciąg dalszy nastąpi). — Marzenie. — Wpływ poezyi polskiej na powstanie listopadowe. Skreślił dr. F. K. (Dokończenie nastąpi). — Korespondencya „Domu polskiego“. Zpoza kordonu. A. M. — Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaiteści. — Jubileusz prof. M. Jaroczyńskiego. — Promyki. Zebrała Marya P. z R. — Listki.